

Czym dla Pana jest wolność?

Wolność to stan, kiedy nie jest się przykutym do łóżka. Wolność jest wtedy, gdy możesz chodzić. To także niezależność finansowa, która pozwala realizować plany.

Pana dramatyczna historia, czego może nauczyć innych?

Że zawsze trzeba mieć czas, by zastanowić się nad swoim życiem. Że za dużo i za ciężko pracujemy. Za szybko żyjemy. Że los nas może zaskoczyć w najmniej oczekiwanym momencie.

Jak szybko zmieniło się Pana życie?

W ułamku sekundy wszystko legło w gruzach. Znajomi mówią, że gdybym nie skoczył do tej wody, to nic złego by się nie stało. A ja myślę, że co człowieka ma spotkać, to spotka. Nieważne, czy skaczymy do wody, czy idziemy prostą drogą. Na to wszystko, co nas spotyka, pracujemy już dużo wcześniej. Ci, którzy żyją teraz w pędzie robienia kariery, gdy mówią sobie, jeszcze ten rok, jeszcze może dwa popracuję i wtedy wrócę do rodziny, będę prawdziwym ojcem, mężem, niech pamiętają, że zawsze trzeba z czegoś zrezygnować. Bo potem okazuje się, że nie ma już do czego wracać. Że to, co było, już nie istnieje.

Jak doszło do wypadku?

Miałem 26 lat. Było lato. Doglądałem remontu dachu u jednego z klientów mojej firmy. Upał był straszny, a niedawno – zbiornik wodny. Kąpało się tam mnóstwo ludzi. Pamiętam jak dziś ten mój skok do wody. Odbiłem się od brzegu i wszystko byłoby dobrze, ale akurat na trasie mojego skoku ktoś wynurzył się z wody. Mimowolnie, w tym ułamku sekundy, zmieniłem kierunek skoku... Mój kregosłup roztrzaskał się o taflę wody... Może nie byłoby tak tragicznie, ale rok wcześniej miałem wypadek samochodowy. Wtedy uszkodziłem kregosłup po raz pierwszy. Półroczna rehabilitacja. Ale wyszedłem z tego, udało się. Jednak kręgi były osłabione... Ten skok skończył

Rozmowa z Piotrem Litwinem z Wólki Podleśnej koło Rzeszowa. Piotr po wypadku jest przykuty do wózka. To historia o jego walce o siebie, o swoją finansową niezależność, o powrót do normalnego życia.

Dzień, gdy przypomniałem sobie, że żyję

się złamaniem kręgosłupa w odcinku szyjnym. Paraliżem całego ciała. Piąty krąg był całkiem zmiądzony.

Życie przed wypadkiem...

Miałem zakład stolarski, świetnie prosperujący. Zarejestrowałem go, gdy ledwo skończyłem osiemnaście lat. Bardzo byłem energiczny i niezależny. Na tę swoją niezależność pracowałem po kilkanaście godzin dziennie. Miałem też żonę, córkę, dziś dziesięcioletnią. Nagle wszystko się zmieniło. Wszystko się rozleciało. Firma, małżeństwo... Pamiętam te pół roku po wypadku. Byłem obrażony na cały świat. Na pytania odpowiadałem tylko „tak” lub „nie”. Lekarze nie dawali mi żadnych szans.

„Pocieszyli”: Będzie dobrze, jeśli będzie pan mógł siedzieć...

Tamten ułamek sekundy będę pamiętał do końca życia. Kiedy moje ciało zanurzyło się w wodzie, nic nie czułem. Chciałem ruszyć rękoma – nie mogłem. Chciałem obrócić głowę – nic z tego. Koledzy myśleli, że żartuję. Bo bardzo dobrze umiałem pływać, znałem teren. Takie wypadki przydarzają się przecież tylko jakimś amatorom, nie komuś takiemu jak ja. W końcu wyciągnęli mnie. Od razu wiedziałem, co jest grane. Pomyślałem tylko: jeśli po wypadku miałem pół roku rehabilitacji, to teraz będzie może z półtora. Ale niestety, tym razem nie miałem tyle szczęścia.

Ktoś wezwał pogotowie...

Kiedy mnie wyciągali, krzychałem, to trwało wieczność. Czułem tylko potworną bezradność. Pech, bo to wszystko zdarzyło się w piątek wieczorem, operowali mnie dopiero w poniedziałek, nie spodziewając się, że jest aż tak źle.

Gdyby operację zrobili do ośmiu godzin po wypadku, to może moje życie wyglądałoby dziś inaczej. Miałem przerwany rdzeń, w jednej czwartej, krwiaki. Lekarze powiedzieli, że te krwiaki mogą się wchłonąć, ale rdzeń jest mocno poszarpany, nie ma żadnych szans, żebym z tego wyszedł. Uszkodzenie jest beznadziejne. Ale ja wiedziałem, że muszę coś z tym zrobić. Że takie życie nie jest dla mnie. Jeśli tak mam żyć, to lepiej nie żyć wcale. Ale nawet samobójstwa nie mogłem popełnić. Jak się zabić, skoro nie możesz się ruszyć?

Więc żyłem, jakbym nie żył. Robiłem wszystko, żeby mnie nikt nie widział. Gdy przychodzili rehabilitanci czy lekarze, odwracałem głowę do ściany. Nie chciałem z nimi gadać. Ale gdy byłem sam, wciąż próbowałem ruszać nogami czy rękami. Zawsze jednak tak, by nikt

nie widział, żeby nie myśleli, że mam nadzieję. Bez skutku.

Aż tu po czterech miesiącach zacząłem ruszać kciukiem prawej ręki. Miałem wrażenie, że porusza nim mój upór, żeby wszystkim pokazać, że jednak mogę, że dam radę.

Ktoś Panu pomógł w tym wszystkim się pozbierać?

Rodzina, głównie mama i najstarsza siostra, także kolega, który uruchomił wszystkie kontakty. Miałem też niezwykłą rehabilitantkę. Nie odpuszczała. Ja mówiłem, że się nie uda, a ona swoje. Przynosiła specjalny sprzęt, żeby mnie ustawić do pionu. To było najtrudniejsze. Ale udało się. W ciągu tygodnia stałem na nogach! A ona dalej, żebym próbował chodzić! To była naprawdę poważna gra o mnie, o moje życie. Kiedy po roku rehabilitacji przyjechałem do szpitala, gdzie mnie operowano, to nie mogli uwierzyć, że to ja. Badania potwierdziły ten cud, wszystko zaczęło się regenerować. Niejedną pracę napisałi już na mój temat. Siódmym rokiem po wypadku i jest ogromny postęp. Przyspieszenie ostatnich lat zawdzięczam też niewątpliwie Alveo.

Jak to się stało, że trafiło do Pana?

To było dwa lata temu. Butelkę ziół przyniósł sąsiad. Już w trakcie rozmowy wiedziałem, że będę to pił. W tamtym czasie mogłem chodzić z balkonikiem, cierpiałem jednak na nadwrażliwość na bodźce, w niektórych częściach ciała nie miałem czucia. Do tego wciąż było mi potwornie zimno w nogi. Organizm nie chciał też przyjąć implantu, metalowej płytki, którą lekarze umieścili mi w szynnej części kręgosłupa. Po kilku tygodniach picia poczułem się znacznie lepiej. Po miesiącu picia przestało mi być zimno w nogi. Czucie w nogach i rękach zaczęło wracać. Piłem 2 miarki dziennie. Po 4 miesiącach łatwiej było mi wykonywać codzienne czynności.

Nie poddawał się Pan od samego początku. Czy ludzie, których poznał Pan podczas długiego czasu rehabilitacji, jak Pan – niepełnosprawni, czy oni też chcieli tak walczyć o siebie? Z taką determinacją?

Wstąpiłem do Stowarzyszenia Ludzi Poruszających się na Wózkach, które organizowało turnusy rehabilitacyjne, przystosowujące nas do życia. Moi współtowarzysze niedoli... Różnie było z ich nastawieniem do życia. Nie potrafili połączyć dawnego świata ze światem po wypadku. Niektórzy

nie wychodzili z domu przez długie miesiące, przez lata! Zamykali się w domach, przed światem. Ja długo wstydzilem się swojego kalectwa, bo też ludzie reagują na to kalectwo strasznie. Rozeszły się plotki, że mi odcięto nogi, że już jestem rośliną. Długo miałem żal do wszystkich, że mnie nie wspierali, że o mnie zapomnieli. Kiedyś ja pomagałem innym... Miałem nadzieję, że gdy będę potrzebował, to ta pomoc do mnie wróci. Ale tak się nie stało. Teraz żyję nowym życiem. Czasem czuję się nawet jak zdrowy człowiek. Powoli zaczynam odzyskiwać to, co zawsze było dla mnie ważne – niezależność. W tym – niezależność finansową.

Stało się tak dzięki współpracy z Akuną?

Kiedy kolega opowiedział mi o działalności firmy, wiedziałem, że to jest coś dla mnie. Nigdy wcześniej nie pracowałem na etacie, więc tym bardziej mi się spodobało. Od razu chciałem się wszystkiego nauczyć. Bałem się tylko, że krąg ludzi wokół mnie jest niewielki, że to może stanowić utrudnienie w pozyskiwaniu kontaktów. Ale i z tym sobie wkrótce poradziłem. Dziś jestem na pozycji Lidera. Wszystko idzie w dobrym kierunku. Odzyskałem radość i dawną energię, aktywność. Czuję, że żyję. Ludzie w mojej sytuacji zwykle nie szukają pracy. Wolą żyć z renty. Nikt nie myśli, żeby coś osiągnąć, raczej, żeby jakoś przeżyć kolejny miesiąc. A żeby pracować w Akunie, trzeba mieć cel. I ja ten cel mam. Bardzo prosty – chcę za półtora roku chodzić. Praca w Akunie może dać mi szansę na pozyskanie pieniędzy na operację za granicą.

Akuna dała Panu nadzieję?

Akuna mnie uratowała. Dała mi finansową niezależność. Trzymiesięczny pobyt w klinice, która może mi przywrócić sprawność, to 40 tysięcy zł. Plus operacje, zabiegi. Jedna operacja to 50 tys. W biznesie klasycznym, żeby zarobić 20 tys. dolarów, pracowałbym kilka lat! Praca w Akunie dała mi pewność, że za dwa lata będę chodził. Ale współpraca z Akuną to też praca nad sobą. Przez ostatnie dwa lata bardzo się zmieniłem. Inaczej patrzę na świat. Życie mi się bardziej podoba. Przed wypadkiem żyłem z dnia na dzień. Za dużo pracowałem. Zapomniałem o tym, co ważne. Teraz już sobie przypomniałem.

■ Rozmawiała Zofia Rymaszewicz

foto. Katarzyna Piotrowska